

Bronisław Komierowski

W krainie wysokich wartości

Lat temu trochę natrafiłem na książkę G. Ferrero — „Era i due mondi” (Między dwoma światami). Miała to być podróż z Ameryki do Europy, a właściwie była to wycieczka w krainę Prawdy, Dobry i Piękna.

Została mi w pamięci rzecz bardzo ciekawa, napisana w formie dialogów między grupą pasażerów, wypełniających przymusową bezczynność rozważaniem najgłębszych zagadnień życia. Przeczytałem książkę pozbawioną. Czas był taki, że zagadnienia najgłębsze musiały ustąpić miejsca zagadnieniom najpilniejszym — rzecz poszła w niepamięć.

Ostatnimi czasami książka Ferrera wpadła mi znówu w ręce. Przeczytałem ją tym razem z uwagą. Od pierwszych kart uderzyła mnie jej wysoka aktualność. Co autor przewiduje — my widzimy.

W chwili, kiedy Ferrero pisał swoją książkę, dolar stał krzepko, a amerykańizm był niedoścignym wzorem dla Europejczyka. Autor powiada: Maszyna zrobiła człowieka nienasyconym, cyfry i maszyny prowadzą świat do barbarzyństwa, do katastrofy, wartości duchowe trzeba przywrócić utracony debet, ludzie będą musieli ograniczyć swoje potrzeby, wolność trzeba okiełznać. Obecny przy tym Włoch, który w Ameryce dorobił się milionów, woła: „Nigdy”. My mówimy: „Już się robi”.

Epizody podróży zostawimy na boku. Zajmie nas wyłącznie filozoficzna treść książki.

Dyskusję wywołało zdanie wspomnianego Włocha, że New York jest najładniejszym miastem na świecie. Harmonia i proporcje są właściwością cywilizacji starożytnych, a bujne życie wymaga bujnych form.

Obecni protestują, oczywiście bez skutku. Włoch został przy swoim zdaniu, natomiast dyskusja wykazała kruchosć wszystkich rozumowych koncepcji. Czy to w dziedzinie piękna, czy prawdy, czy dobra — w tym skarbcu największych wartości człowieka — nie ma trwałego. Wszystko da się dowiedzieć, każdą prawdę można podać w wątpliwość, każdą zaletę można zrobić wadą. Rozumowe koncepcje są odwracalne: może być tak, może być nie.

W toku rozpraw legły w gruz solidne teorie, ustalone poglądy. Odwracalne jest nawet pojęcie postępu, mimo gorących protestów Włocha, nawet wiedza, dla której dostępne są tylko ulamki prawd.

Autor potrzebował tej hekatombie pojęć, aby przygotować grunt dla swojej podstawowej tezy:

W pojęciach abstrakcyjnych decydujący głos ma wola, nie rozum.

Wola, a nie teoria i filozofia, jest źródłem wartości. Rozum, myśl, filozofia, nie mogą ustawić zasad sztuki i moralności — mogą je tylko rozwijać. I to jeszcze najchętniej grzebią się w fundamentach, osłabiając całość budowy.

Rzecz prosta, wola musi mieć za sobą autorytet, zdolny opanować umysł. Więc będzie to wola: sławy, szkoły, sekty, kościoła, narodu, epoki, szeregu pokoleń. Im większy autorytet i dłuższe wpływy, tem pełniejszy i trwalszy będzie skutek.

Obok tej pierwszej tezy stoi druga:

Działanie woli wyraża się przez ustanowienie granic.

Tragedją myśli ludzkiej jest, że wszędzie natrafia na nieskończoność, a człowiek nie ma żadnego zmysłu, któryby mu pozwolił nieskończoność, już nie ograniczyć, lecz poprostu zrozumieć. Skazywałby zatem na wieczne błądzenie, gdyby wola nie podala mu punktu oparcia.

Zamknijmy w jakichś granicach te wszystkie wartości, które z taką łatwością obaliliśmy, a staną krzepko na nogach i oprą się wszelkiej krytyce.

Wszelki świat możemy pojąć jako rzeczywistość, która nas ze wszech stron przetrąca i z której tylko drobne cząsteczki ideałów do nas przenikają. Żądać całego, całego piękna, całego dobra niema netylko możliwości, niema także potrzeby. Cóż z

tego, że ideały są nieograniczone, kiedy umysł — nasz organ percepcyjny — jest ograniczony, a nadto potrzeby nasze są zależne od warunków ziemskiego bytu. Pijemy z nieskończoności drobnymi haustami, w miarę zmiany warunków i potrzeb.

Z tego źródła każde stworzenie otrzymuje cząsteczkę prawdy, niezbędną dla jego istnienia i korzystania z niej bez wahania i nicomylnie, dlatego właśnie, że intelekt nie gra przy tem żadnej roli.

Z tego źródła człowiek otrzymuje iskry natchnienia, podstawę wszystkich swoich ideałów i. aby dać jej warunki ziemskiego bytu, musi szukać dla niej odpowiednich granic.

Brak granic prowadzi do niezgody, do zagubienia w nas zdolności rozróżniania dobra i zła, piękna i brzydoty — jak świadczy choćby niedawna dyskusja o New Yorku. Historia sztuki to stała walka o wytworzenie i narzucenie granic.

Z ograniczenia powstają dla nas prawda, piękno i dobro.

Z ograniczenia powstała cała nasza cywilizacja.

Świat starożytny, skupiony dookoła Morza Śródziemnego, ograniczony był z natury. Kończył się u Słupów Herkulesa. Nad nim słońce i gwiazdy na jego usługach. Tuż Olimpie opiekunicy i pod ręką bogowie, jako towarzysze trosk i radości. Dodajmy, że skąpe dary przyrody nie sprzy-

jały wzrostowi bogactw i pożądań, — a łatwo się zgodzimy, że ta cywilizacja, nie mogąc się rozprzestrzeniać, musiała pójść w głąb i w ten sposób wytworzyła arcywzory poezji, architektury i prawa. Chrześcijaństwo zastąpiło poganizm, nie wiele zmieniając w podstawowych warunkach bytu, dodało tylko jedną dziedzinę pracy na głębokość — poszło w głąb sumienia.

W zamkniętym świecie cywilizacji Morza Śródziemnego pierwszy Kolumb odważył się zaimać granice ziemi, a za nim Kopernik rozdarł kopułę niebios. W obu kierunkach otworzył się widok na nieskończoność i wstrząsnął zamkniętym światem do głębi.

Ludzie przyrzekli się podejrzieli innym granicom i wszędzie doszkalili się zasad umówionych i względnych.

Rezultat był niespodziewany. W miarę jak odsuwały się granice nieba i ziemi, powstawały granice między ludźmi. Coraz częściej zdawało się niektórym, że dojrżeli całą prawdę i całe piękno. Obalali z łatwością granice, utworzone przez tradycje wieków, ale poddawali się nowym, utworzonym przez fanatyzm, nawiązywał i względy osobiste. I zaczęli zwalczać innych, co, ulegając temuż złudzeniu, szcili z równą wyłączością odmienną formę prawdy i piękna.

Stary świat, aczkolwiek zmienił i odsuwał granice, dla jednych obmyślał mocne i wysokie,

drugim dawał najmniej krępujące, Boga umieścił na krańcach nieskończoności, — jednakże nie mógł już wyżyć się całkiem u stroju, w którym wzrósł i rozkwitnął.

A tymczasem na nowo odkrytych, bezkresnych, bogatych obszarach powstawała nowa cywilizacja, nieograniczona nieczem. Bez plodów ducha, bo te były zbyt cenne — do zdobycia ziemi wystarczały maszyny i wiedza.

I oto stała się rzecz niezwykła. Człowiek, wyzbyty z pęt, olbrzymi krokami pobił naprzód. Statystyka wykazuje zawrotne cyfry wzrostu produkcji, budowy dróg, urządzeń społecznych.

Szalony postęp na każdym polu, tylko — niema już czasu myśleć o jakości. Presto e bene non vanno insieme.

Z postępu wyłoniła się idea równości, jako rezultat walki, która postępowi zmuszony był wydać wewnętrzny walorom produkcji, a także jednostki, gdyż moralne kwalifikacje coraz mniejszą grają rolę. Człowiek staje się maszyną nienasyconą i nieopanowaną — tyle jest wart, ile potrafi wyprodukować.

Idea równości zabija w ludziach dążenie do jakości, do polepszenia rzeczy i samych siebie. Wzrasta zatem ilość kosztów jakości daje równość w mniemaniu. A nadto otwiera drogę przed kłamstwem, gdyż ilość najchętniej przywdziewa maskę jakości. Stąd mamy dywany smyrneńskie

wyrobione w Wiedniu, bezcenne tkaniny indyjskie fabrykowane w Londynie do powszechnego użytku. Stąd otwarte pole dla urojonych wielkości, albo wprost dla szarlatanów, którzy nam narzucają fałszywe wzory piękna. Wszakże widzimy, jak już powszechnie za piękne uznawane jest trudne, jaskrawe, kolosalne, rzadkie — wszystko wartości o cechach ilościowych, które pojęcie piękna pacy. Piękno jest czystą jakością.

Z obszarów Ameryki powiała na świat jeszcze jedna idea — wolności.

Idea bałamutna, gdyż do wolności jedna jest tylko droga — przez opanowanie siebie. Tymczasem postęp, aby spożył wzrastającą produkcję, domaga się właśnie rozbudzenia apetytów nad miarę, nad potrzebę. Wolność zatem nie da się uzyskać inaczej, jak popuszczeniem pasa i opanowaniem nie siebie, lecz innych.

Gdyby człowiek nie uzyskał wolności, czy mógłby sprostać tej olbrzymiej pracy, jakiej dokonał? Cywilizacje ograniczone pracować nie umiały. Myśmy zdobyli ziemię i opanowali naturę. Czyż to nie warte było wysiłku, nawet za cenę obalenia wielu granic?

Doniosłej roli postępu zaprzeczanie nie można. Pamiętajmy jednak, że cywilizacje ograniczone wytworzyły kapitał, z którego wszyscy po dziś dzień żyjemy, nie

zdając sobie z tego sprawy. I trwonimy także, nie zdając sobie z tego sprawy. Strzeżmy się, aby go nam nie zabrakło. Nie może być prawdziwego postępu, jeżeli prawdy nie będą narastały z pokolenia w pokolenie. Inaczej tworzy się tylko zamki na lodzie dla swej wygody, lub fantazji. Dziś ze zdziwieniem stwierdzamy, że w epoce postępu tylko cyfry idą w górę, a nasze poczucie moralne nie odpowiada osiągniętyemu triumfowi. Żyjemy w gorączce, w upojeniu, w gruncie rzeczy jesteśmy zaniepokojeni i markotni. A coraz częściej słysząc skargi, że znajdujemy się w epoce upadku.

Włoch milioner znów protestuje:

— Czuję się zdrow i silny i nie spocznę, póki nie zaokrąglę majątku do 100 milionów.

— A potem?... Zwróć się pan do tych, co już doszli do celu, powiedz panu, że ilość zawsze kończy się przesytem, a wtedy powstaje fatalne zapytanie: po co?... Przypatrz się pan dobrze Ameryce. Ameryka robi pieniądze. Wiedocześnie jednak to jej nie wystarcza, bo jeszcze za czemś niespokojnie się ogląda. Tworzy nowe religie, zakłada fundacje i instytucje, adoruje obcych artystów, stara się zrozumieć i naśladować wszystkie wzory kultury, przebiega stale lądy wszędy i wzdłuż, skupiając dzieła sztuki. Czegoż szuka?... Granic?... Miary na wzór?... Jakości?... Ale czy ją znajdzie? Czy stare zaniedbane resztki wyścigów?... Czy nowe wartości odpowiedzą wymaganiom? — tyle wśród nich fałszyfikatów. Przecież ilość wzrastała kosztem jakości, przecież w pogoni za ilością różnice jakościowe, tak materialne jak moralne, stawały się coraz niklejsze, — coraz mniej uchwytne — czy będzie do czego wracać?... A czy powrót jest możliwy? — wszelkie ruch wsteczny o własnych siłach przeczy zasadom entropji... Tyle kwestyj, których ludzie własną głową nie rozwiążą.

Na szczęście człowiek nie jest pełnoprawnym gospodarzem na ziemi. W chwilach przełomowych życie samo nawraca na tor właściwy. I rzeki wracają do źródeł w pełnej zgodzie z prawami entropji — za przemożnym wpływem słońca.

Prawda, o ludzkich ideałach decyduje wola, ale wola — już mowiliśmy — bierze iskry natchnienia z tamtej strony granicy, a gdy z niej uczyni zły użytek, wywołuje powikłania, za które odpowiada własną dola. Może błądzić i mylić się — na swój rachunek. Błąd do panowania nad światem nie dojdzie. Jest siła — jak ją nazwać: życiem, Opatrznością — co nie myli się nigdy. Błędy naprawia, nawet z powikłania chwili korzysta dla swoich celów. I patrzcie — świat ludzki w zebraniu lepiej się przedstawia niż jednostki, co w nim gospodarza. Wśród jednostek widzimy różne przywary, zepsucie, egoizm, zawiść, pożałowanie, próżność. Tymczasem duch, co po świecie niewiedzieć skąd wieje, jest zdrowy i dodani. Łączy się w nim: wstręt do próżniactwa, chęć zrobienia lepiej, solidarność, humanizm, sprawiedliwość, godność i duma, jakich świat starożytny nie znał.

Nie twórzmy się zatem i nie traćmy nadziei. Kiedyś akt woli ograniczającej wybuchnie niespodzianie i zabłyśnie prawdą, która wyznaczy granice żądom ludzkim i bezmyślnej produkcji bogactwa, a iskry tajemniczą oblecze w nowe wzory prawdy, piękna i dobra.

Takim majorowym akordem autor kończy swoją podróż.

Rozmowa, prowadzona przezwadnie — jak mówi Francuz — a batons rompus, trudno daje się strześć. Musiałem wybrać to tylko, z czego można było złożyć jakąś schematyczną całość. Pozostało zostało wiele trafnych spostrzeżeń, doskonałych określeń, świetnych porównań — warto dać nich przeczytać książkę w całości. Kto przeczyta, zgodzi się może z takim zdaniem jednego z uczestników dyskusji:

— Słysząc wiele rzeczy po raz pierwszy, wydaje mi się, że nigdy inaczej nie myślałem. A to jest świadectwo prawdy.

Józef Marjan Chudek

Przybyszewski — gloryfikator wojny

GENEALOGJE PACYFIZMU

Z pacyfizmem jest gorzej, niż z dwiema matkami, walczącymi o jedno dziecko przed sądem Salomona. Tam było ich tylko dwóch, więc ostatecznie zadanie Salomona nie było utrudnione; pacyfizm natomiast ma ojców bez porównania więcej. Nie toczą oni sporu sami — chyba w zaświatach bez naszej wiedzy — za to o uznanie ich ojcostwa walczą ich zwolennicy z zapalem, może nawet większym, niżby to czynili oni sami.

Kogóż to już nie proklamowano do tej pory ojcem pacyfizmu? Wysunięte zostało nazwisko ks. de Saint — Pierre i autora wielotomowego „Projet pour rendre la paix perpetuelle en Europe”, którego dwa pierwsze tomy ukazały się z początkiem 1713 roku w Utrechcie; przypominano moralistów hiszpańskich z okresu reformacji; nawet cofnięto się dalej, bo w głąb historii Indji, gdzie w sto lat po Aleksandrze Macedońskim panował wielki reformator i pacyfista — król Asiocka Piyadasi (263 — 222). To ważniejsi, a oprócz nich raz po raz znajdują się jeszcze jednego ojca, zapominając, że właściwie w wielu wypadkach, gdy chodzi o czasy nowsze, są to tylko interpretatorzy Montesjusza.

Jean Balde, referujący tezy ks. de Saint — Pierre, woła patetycznie o jego dzieło: „Oto Liga Narodów, stworzona w postaci zasad na papierze”¹⁾, jednak papier w znacznej mierze został papierem, nawet po zrealizowaniu w życiu, tymczasem zaś przysięgi wychwalacze tak znacznej skądinąd instytucji, mającej strzec pokoju już netylko Europejczyków, ale w ogóle świata, muszą rozrywać z aktorskim gestem szaty i deklamować koturnowo: „Bo czyż potrafimy jeszcze wyczuć dzisiaj te właściwa, pierwotną treść w brzmieniu spoliczonego, spłowiałego i wyswiechtanego już wyrazu „pacyfizm”? Słowo to, rozlegające się od pewnego czasu hucznie po wszystkich wertepach kuli ziemskiej, rozpryskuje się w tysiącznych echach, zatracając coraz bardziej swą istotną pierwotność”²⁾.

¹⁾ Jean Balde: L'Abbé de Saint — Pierre. Les Nouvelles Littéraires. 17. 1. 31.

²⁾ M. Korzennik: Bezimienny miłośnik pokoju. Głos Polska z 18-tego wieku przeciw wojnie. Nowy Dziennik. 17. 6. 30.

NA ANTYPODZIE ZAGADNIE-NIA

I oto moda na poszukiwanie ojców pacyfizmu przycichła. Niektórzy z dawnych pacyfistów dodali sobie na początku skromne „b”, by stwierdzić swą byłość. Próbuje się nawet spojrzeć na wojnę mniej surowo. Przypominano również wywody historyków kultury, wykazujące kulturowe wartości wojny dla społeczeństw pierwotnych; jakby uprzedzając w ten sposób wzrost tendencji militarystycznych w polityce światowej.

Tak patrzy się na wojnę z odalenia, gdy rysy okrucieństwa jej zacierają się w pamięci, i nie jest to żadnym bohaterstwem, a tego trzeba było wiele, ażeby w podobny sposób spojrzeć na wojnę w trakcie jej trwania. Tak właśnie patrzył na nią Przybyszewski.

PANEGIRYK NA CZĘŚĆ WOJNY

Wojna zastała go poza granicami Polski. Żył on wtedy w Monachjum, gdzie, według informacji wydawców „Tyrtusa”, „odgrywał od lat rolę jednego z duchowych ambasadorów Polski, informując swym wytrawnym piórem niemiecką prasę o sprawach naszych narodowych”, przy czym „nieobojętne przepływała obok niego wielka fala ostatnich wypadków”, związanych z wielką wojną. Literackim odzwierciedleniem tych nastrojów stał się właśnie „Tyrtusz”, wydany w Wiedniu pod koniec 1915 roku w „Bibliotece Polskiej” i opatrzony wstępem niesłychanie holdowniczym, który wyszedł zapewne spod pióra należącego do komitetu redakcyjnego Jakóba Geszwinda — późniejszego obrońcy Przybyszewskiego przed zarzutami ze strony Boya — Zelenieckiego.

„Tyrtusz” — to wielka fuga liryczna, pisana ze zwykłą u Przybyszewskiego pasją, niewolna od jego frazeologii i jeśli się go teraz czyta, to wyłącznie po to, ażeby odcyfrować na jej podstawie stosunek Przybyszewskiego do wojny już nie jakiejś jednej, konkretnej, lecz do wojny w ogóle. Bez zająknięcia trzeba ten

utwór nazwać panegirkiem na część wojny. I stwierdzić, że takich gorących pochwał wojny nie znajduje się w literaturze świata zbyt wiele.

Czy pogląd Przybyszewskiego w tej sprawie był stały i niezmienny, to już inna rzecz, niemniej jednak pisząc „Tyrtusa” wierzył w to, co pisał. Tak samo mógłby wierzyć w to, co pisał potem, choćby sam sobie zaprzeczał. U ludzi tego typu, co Przybyszewski, trudno doszukiwać się jakiejś jednolitości w poglądach, uczuciowości bowiem gra u nich rolę decydującą i sprawia, że typ taki jest jednocześnie katolikiem i bluźniercą, kosmopolitą i patriotą, człowiekiem o czułym sumieniu i równocześnie grzesznikiem. Ta zmienność nastrojów u ludzi zwykłych, mija bez trwałych śladów, u pisarza przejawia się w postaci dzieł; ale trudno na podstawie takich dzieł odbudowywać ich światopogląd i godzić istniejące w dziełach sprzeczności. Tak właśnie jest z Przybyszewskim, który w okresie mody na pacyfizm, gdyby jej dożył, byłby niezawodnie pacyfistą, jak był gloryfikatorem wojny

WOJNA

POJĘTA METAFIZYCZNE

Przybyszewski — to człowiek żyjący pod brzemieniem kosmosu. (Dziś daje się to spostrzec tylko u Zegadłowicza). Zauważono już, że „każde najmniejsze zjawisko posiada dla twórcy „Homo Sapiens” niesłychaną wagę. Wierzy on, że to zjawisko jest tylko zewnętrznym kształtem, ulamkiem jakiejś całości o nieodgadnionym znaczeniu”³⁾. Tem się tłumaczy, że dla każdego zjawiska szuka korzeni kosmicznych. Tak też spojrzeć musiał na wojnę:

„Poco szukać jej przyczyn w tak mało znaczących rzeczach, jak niemiecki militarizm, angielski imperjalizm, francuski szowinizm i pragnienie odwetu, albo obłęd moskiewskiego rakarza, który na wyswobodzenie braci słowiańskiej zachorował?”

³⁾ Hanna Huszcza — Winnicka: Tragedja Przybyszewskiego: niemieckość życia. Gazeta Polska. 3. 8. 30.

NAGŁA DEPEZA!... PILNA SPRAWA!...

SPÓŹNIENIE GROZI CI KŁOPOTEM,

LECZ SZYBKO MIJA TWA OBAWA.

GDYŻ WIESZ, ŻE ZDĄŻYSZ S A M O L O T E M.

